

JAK GRODKOWIANIE Z PRADZIADEM SIĘ SPOTKALI !?



Całkiem niedawno grupa Grodkowian odwiedziła naszych przyjaciół z miasta partnerskiego Bohumin. Zapraszam do przeczytania relacji jednego z uczestników tego wyjazdu:

"...postać o monstrualnej posturze, chciało by się rzec: olbrzym, o dobrotliwej twarzy, z duszą łagodnej owieczki, gołęmbim sercu, skory do niesienia pomocy, czasem z kosturem w ręce, w kapeluszu z wielkim piórem i koniecznie z długą białą brodą nie bardzo wiemy kogo ma przypominać to krótkie opisanie? O kim mowa?! My nie wiemy, ale naszym przyjaciółom z Czech, już po pierwszych sylabach roześmiały by się oczy i lica zajaśniały. I gdybym ich zapytał: kto zacz? – w odpowiedzi usłyszałbym gromkie: Pradziaaaaaad ! Racja! Ale do tego jeszcze wrócimy.

..... sobotni poranek nie napawał pogodowym optymizmem, a już zupełnie nie zapowiadał tak wielu wspaniałych wrażeń, które czekały nas w najbliższych godzinach, spędzonych na urokliwej ziemi jesenickiej. Beata i Czesław wraz z członkami Polskiego Związku Kulturalno - Oświatowego w Skrzeczoni, jako gospodarze, skutecznie o to zadbali. Po lawinie powitalnych całusków, (tak tak całusków, bo przez lata zdążyliśmy wytworzyć już niemal rodzinną atmosferę) i dopełnieniu formalności wszelakich, udaliśmy się do Kouty nad Desną. Po drodze okazało się, że towarzyszący nam deszcz ani na moment nie miał zamiaru pofolgować i ten łobuzowaty wasal aury, pewnie postanowił pokrzyżować nam plany i zepsuć imprezę. Ale nie z nami takie numery. W ruch poszły płaszcze deszczowe i parasole. A co najważniejsze, nic nie było w stanie zachwiać naszą pogodą ducha. To prawdopodobnie mocno poruszyło „majestat aury” i zniesmaczona, z mściwością porozwieszała nad dolinami niektórymi i stokami nas okalającymi, szarosrebrzysty woal mgieł. W takim obrocie spraw staliśmy się bezsilni, ale nie tracąc rezonu, ruszyliśmy po przygodę z elektrownią niezwykłą bo szczytowo-pompową, która jest wizytówką Republiki Czeskiej , która chlubi się trzema „naj”. A to: wyposażona jest w największą w Europie turbinę rewersyjną (dla niewtajemniczonych – korzysta z energii wody spadającej z górnego zbiornika, a następnie wpompowuje ją do zbiornika górnego na wysokość 1350 m.n.p.m. , ma największą moc w Republice i jest elektrownią o największym spadku w Czechach – prawie 511 metrów. Jest ona doskonałym przykładem technicznej myśli ludzkiej i zarazem stanowi wielką atrakcję turystyczną. Byliśmy w jej sercu niemalże, widzieliśmy oba zbiorniki, ten dolny i górny i tu mam problem; czy określenie „widzieliśmy” jest adekwatne do tego, co spotkaliśmy na górze! Wspomniana deszczowa aura tak się „zezłiła”, że ukryła przed nami niemal dokładnie cały zbiornik do tego stopnia, że mieliśmy wrażenie, iż jesteśmy w chmurach. Widoczność na kilka metrów, a wokół nas mleko i ocean szarości. Ech ty! Zakląłem pod nosem. Niedobrzyca! Pochowała przed nami wszystko, włącznie z Pradziadem, a chcieliśmy się choć skinieniem ręki z nim przywitać i pozdrowić go od Polski. Jedyłą nadzieją była obiecana przez Czesława jakaś „niespodzianka”!? W skrytości ducha pomyślałem: „pewnie nas jutro

do niego zawiezie, byśmy jego majestatowi mogli pokłonić się z bliska”. Cóż było począć. Czekać jutra. Jeszcze kilka pamiątkowych fotek i powrót do hotelu, gdzie czekał na nas ciepły kąt i smaczny posiłek.

A mowa jest o hotelu KARLOV, który znajduje się w miejscowości Karlov pod Pradziadem. Urokliwa to okolica tyle, że dziś za rozkazaniem aury przywdziała chmurzastą kapotę, a nas sownie chłozcze przenikającym chłodem i „częstuje” średnio miłą pluchą. Nawet dzień pogubił się cały i spóźnił się na podwieczorny capstrzyk, błędząc gdzieś het po wymaginowanym firmamencie. Tabun chmur z siostrą mgłą pod rękę, uczynił niebo nierozpoznawalnym. Nawet schowane słońce zgubiło drogę do zachodzenia i zapomniawszy języka w gębie, nie potrafiło wskazać światu, że czas najwyższy by sposobić się do snu. Ale mimo to wieczór w tym pogodowym zamieszaniu zachował zdrowy rozsądek i rozwiesił nad światem całun młodej jeszcze ciemności. Zebraliśmy się wszyscy w sali „balowej”, by podsumować dzień pełen wrażeń. I wtedy się zaczęło. Czegóż tam nie było. Uczzone dysputy i festiwal dowcipów. W miarę zapełniania żołądków pysznościami, przyszła ochota na śpiewanie. Były więc śpiewy chóralne, w układach kameralnych i solowe. Jako solistka w repertuarze balladowo-biesiadnym wystąpił alt dramatyczny- pani Ela, a dzielnie Jej towarzyszył mistrz akordeonu, małżonek Ryszard. Oczywiście owacji było moc i jak przystało na koneserów Muz, na stojąco.

Ale kulminacją wieczoru była loteria fantowa. Gospodarze zadbali, by losów wystarczyło dla wszystkich. Na szczególną uwagę zasługuje inwencja w doborze fantów. I to właśnie dostarczyło maksimum zabawy i wesela. Żadne słowo nie odmaluje atmosfery podniecenia, ciekawości i przedniej zabawy. Fanty były atrakcyjne, dowcipne i co najważniejsze, użyteczne. Niektóre z nich zaprezentuję. Wcale się nie zdziwię, kiedy u czytając tę wyliczankę, wzbudzi się odruch lekkiej zazdrości. A oto najwięksi szczęśliwcy. Najnowszym modelem automatycznej kosiarki ślepy los obdzielił naszą solistkę Elę. Wylosowała: sierp! Wyrafinowany sprzęt myśliwski trafił do pani Ireny z Czech. A były to: łapka na myszy i packa na muchy! Wyjątkowe szczęście uśmiechnęło się do pana Pawła. By nie zaniedbywać obowiązków tzw. męża aktywnego, w loterii wylosował: najnowszy model odkurzacza bezprzewodowego – mała zmiotka do śmieci z łopatką! Szczęściarz! A i małżonka nie posiadała się ze szczęścia (a ze śmiechu przede wszystkim)! Najnowszy typ ekologicznej suszarki trafił do rąk kolejnej pani Ireny z Czech, to: sznur do wieszania bielizny i klamerki. Hojnym okazał się być też los dla pani Beaty. Do Niej trafił fant i intrygującej nazwie: „Droga Do Szczęścia” – dostała Jej się mapa Bohumina! Wymowne! Ale bodaj największa frajda trafiła się pani Joli. Ślepy los zafundował Jej przelot nad Alpami w dwie strony. Tak, tak – w dwie strony Prowadzący losowanie, pan Czesław, na parkiecie postawił dwie małe buteleczki Alpy (to taki czeski Amol), na środek poprosił dwóch słusznej postury mężczyzn, a szczęściarę posadził na krzeselku, stojącym obok. Kiedy pani Jola usiadła, panowie podeszli bliżej, Ona „obłapała” obu za szyję ipanowie przenieśli Ją tam i z powrotem nad stojącymi na podłodze Alpami! Brawom nie było końca. A i „turystka” nie kryła wzruszenia. Oczywiście nie sposób wymienić wszystkich zdarzeń, ale kończąc tę wyliczankę dopowiem jeszcze, że dobry i szczęśliwy los sprawił, że można było wylosować śniadanie z panem Burmistrzem, a nawet uwiecznić się na zdjęciu z Szefową Towarzystwa Miłośników Ziemi Grodkowskiej, panią Janiną.

A potem. Potem wypełnieni do granic wrażeń, weselem i zabawą, udaliśmy się na spoczynek. Nam trafił się przytulny pokoik od strony zalesionego wzgórza. Jeszcze przed snem zerknąłem między firany, by pokłonić się księżycowi, a właściwie to tylko jego poświacie, która z wielką biedą próbowała przedrzeć się przez chmurzyska. Po czym oddałem się posłusznie w ramiona Morfeusza. Pamiętam, że moje spanie, niemal przez całą noc wypełniało dochodzące do mojej jaźni dziwne szemranie, czasami przemieniające się w coś, co przypominało pluskot wody.

„Cholera, całą noc leje!” – pomajaczyłem sennie.

Ta aura rzeczywiście uwzięła się na nas, czy kie lichu! O tempora, o mores! - Cynceronem poleciały moje myśli zaspane.

W końcu noc minęła i nadeszła pora wstawania. Leniwie podniosłem jedną powieka, zaraz drugą i ku mojemu zdumieniu zobaczyłem zazierające do pokoju nieśmiało radosne promyki słońca. Zerwałem się na równe nogi. Jest! - zawołały moje myśli radosne. Jest pogoda! Niemal w podskokach podbiegłem do okna. Nos przykleiłem do szyby i oczom moim, tuż przy ścianie ukazał się okazałej wielkości, szemrzący i bulgoczący, pełen rozbawionej wody, górski strumień.

Poczułem się jak niepyszny. A to ci.....?!

Rzeczywiście dzień nas powitał zgoła odmienny od wczorajszego. Chmury rozpedził wiatr, a na nieboskłon wpłynęło złociste słońce. My ponownie w autokarze. Tym razem pędzimy po obiecaną przez Czesława niespodziankę. Długo molestowaliśmy go, by uchylił choć rąbka skrywanej tajemnicy. Był twardy, a może raczej udawał, ponieważ po wielu prośbach i namowach - pękł. Jedziemy nie na Pradziada, ale do Pradziada. Cokolwiek by to znaczyć miało, było z lekka tajemnicze. Jak się okazało, wiozł nas do miejscowości Jirikov, w której jest słynna „Galeria Pradziadowa”. Na 6 hektarach rozmieszczone są pracownie i rzeźby Jiri Halouzka i jego synów. Całość mieści się na farmie danieli. Osobliwością jest ogromna rzeźba legendarnego władcy gór Pradziada, wysoka na 10,4 metra. Jego waga to 15 ton. Monument robi wrażenie. To ten jegomość ze wstępu. Na uwagę zasługuje praca o historii ziemi. To ciąg wysokich na 2 metry płaskorzeźb, ustawionych w kształcie litery „u” o długości 36 metrów. Kolejny unikat w kolekcji Halouzków jest Rzesza Pradziada, wykonana w drewnie lipowym. Największe zainteresowanie u najmłodszych zwiedzających wzbudzają szopki, a szczególnie ogromna szopka betlejemska, na którą składa się ponad 150 różnorodnych figur. Niektóre są naturalnej wielkości człowieka. Jest tu także ogromny słoń i wielbłąd. Przyznać trzeba, że galeria robi ogromne wrażenie i przygoda z nią, na pewno wszystkim na trwale wpisze się w pamięć.

A niespodzianka Czesławowi naprawdę się udała.

W drodze powrotnej wstąpiliśmy do Karlovej Studanki. To urokliwa, położona 800 m.n.p.m. miejscowość turystyczna w paśmie Wysokiego Jesionika z walorami uzdrowiska. Można powiedzieć, że to właśnie w niej znajduje się słynny szczyt Pradziad o wysokości 1491 m. Zakończyć ciekawostką się godzi. Właśnie tu w Studance po raz pierwszy tej jesieni ulepiliśmy bałwana, no powiedzmy bałwanka. "